

155 17

OBRAZKI MYŚLIWSKIE

NAPISAE

WŁADYSŁAW GÜRTLER

(Z RYCINAMI)

Cena 1 kor.

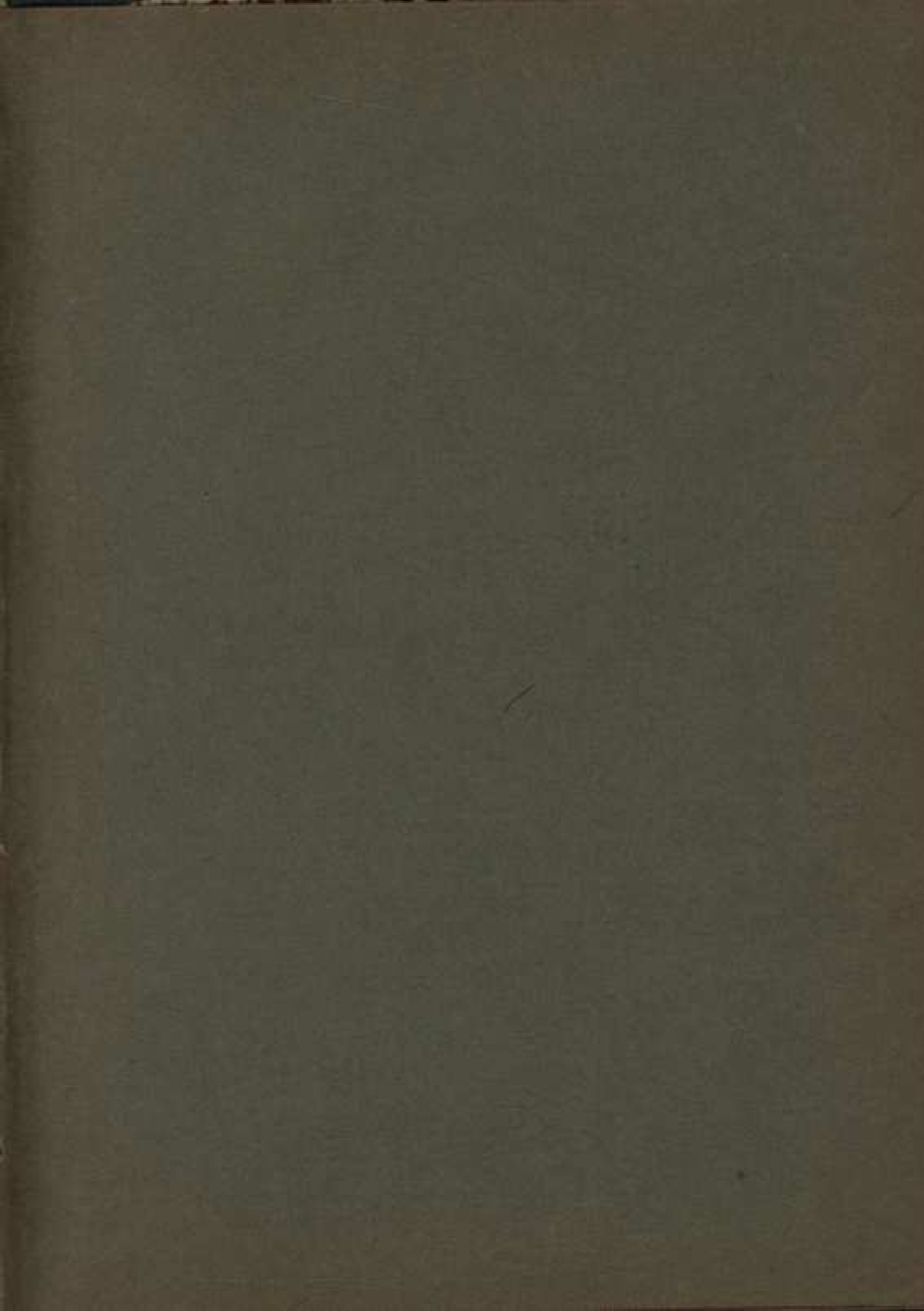


**POLSKI ZWIĄZEK
KOWIECKI**

POLSKI ZWIĄZEK ŁOWIECZKI

BIBLIOTEKA

Nr 5860



BIBLIOTEKA MACIERZY POLSKIEJ

Nr. 105.

OBRAZKI MYŚLIWSKIE

NAPISAL

WŁADYSŁAW GÜRTLER

(Z RYCINAMI)

POLSKI ZWIĄZEK ŁOWIECKI
BIBLIOTEKA

Nr. 5860



LWÓW 1917.

GŁÓWNY SKŁAD W ADMINIST. MACIERZY POLSKIEJ W GMACHU
SEJMOWYM, W KRAKOWIE W KSIĘGARNI G. GEBETHNERA I S-ki.

Król Jagiełło na łowach.

Po dokonaniu swego wielkiego, misyjnego zadania na Litwie, wrócił Jagiełło w zimowych miesiącach roku 1387 na krótki wypoczynek do Krakowa. Jadwigi jeszcze nie było, gdyż niestrudzona monarchini, zajęta pracą na Rusi i utrwalaniem rządów polskich w tym zagospodarowanym już przez Kazimierza Wielkiego kraju, zatrzymała się dłużej we Lwowie, skąd, skoro tylko zabezpieczyła tam swoje wpływy, przybyła wprost do Krakowa, by powitać rycerskiego, pracą utrudzonego męża.

Na dworze królewskim zebrało się mnóstwo rycerstwa polskiego, litewskiego i obcego; byli także i wysłannicy krzyżacy, którzy — chociaż przyjęci bardzo gościnnie przez monarszą parę — zamiast używać statków i chwalić Boga, zajmowali się u boku króla szpiegostwem, bacząc pilnie na wszystko, a szczególnie na jego stosunek do panów małopolskich i do książąt litewskich. Sprzymierzeńców szukali sobie nawet w najbliż-

szem otoczeniu królewskim i, nie zważając na suknie zakonne, nawiązywali zażyłe stosunki z damami dworu. Z pośród kilku innych wieszat się u boku króla Wilhelm Helfenstein, wielki komtur i zyskiwał podstępna układnością względy Anny Wajdyłówny, powinowatej królewskiej, przez którą o niejednej ważnej sprawie wiedział. Na zamek zjechał także dawny wielkorządca Rusi, Władysław Opolczyk, podnoszący coraz to nowe, nieuzasadnione pretensye do tego kraju z tytułu swego namieszczenia, mimo, że za trudy otrzymanej już bogate uposażenie w innych dzielnicach. Jagiełło rad był bardzo obecnemu jego przybyciu, ponieważ pragnął usunąć na zawsze wszystkie jego pretensye; wkrótce też rozpoczął z nim układy w zamku myśliwskim w Niepołomicach.

Byli także w Krakowie Konrad, książę na Olesnicy, i możny pan Krystyn z Ostrowca. Z powodu licznych zjazdów książąt i panów odbywały się świetne zabawy na Wawelu i szły po sobie w nieprzerwanym szeregu, szczególniejsze turnieje skupiały na sobie uwagę zacnego rycerskiego, jako pozwalające mu wyładowywać energię, okazując sprawność ciała i moc ducha.

Król sam chętnie się bawił, gdyż przekroczyłszy zaledwie czterdzieście, czuł w sobie siłę i zapat młodzieńczy; dlatego wybity brat nieraz udział w zapasach rycerskich.



...Gdy się tak bawiono, zjawił się na zamku krakowskim łowczy królewski, Janko Łagęza, z wiadomością, że w puszczy niepołomickiej w pobliżu zamku myśliwskiego pojawiły się niedźwiedzie, które snąc zbudzone ze snu zimowego zbyt łagodną zimą i ciepłem lutowego słońca, opuściły gawry i poczęły włóczyć się po puszczy, a wypadając od czasu do czasu z boru, czyniły dotkliwe szkody w chudobie.

Król, rozmiłowany w myśliwstwie, skoro usłyszał o niedźwiedziach, zdecydował się prędko na polowanie; przypomniały mu się niedawne jego trumfy na Litwie, gdy samotnie tylko gonił z oszczepem za wszelakim zwierzem. Tęsknił już za puszczą, wszak w ciszy leśnej czuł się najswobodniejszym, zdobywał spokój i ostoję przed zgiełkiem dworu; w poszumie drzew odwiecznych wyławiał pieśń czarowną, która jak bal-sam ożywiający wpadała do jego prostej, szlachelnej duszy. Po pracy w kniei, nieraz ciężkiej i niebezpiecznej, czuł się odmłodzonym i wracał zawsze pełen zapału i energii do swych królewskich zajęć. Zaś urok walki z synami leśnych ostępów pociągał go nieprzepartą siłą.

Kazał więc służbie przygotować wszystko potrzebne, sam opatrzył swój mieczyk i krótką ostrą dzidę, odział się w kozuch i czapicę baranią i pożegnawszy się z umiłowaną nad wszystko królową, usiadł na pierwsze, oczekujące go sianie.

Przy boku swoim miał Władysława Opolskiego, który także zapragnął łowów i Jaśka z Tarnowa, przyszłego wojewodę Rusi; na drugich saniach siedział komtur Wilhelm, myśliwy, choć Krzyżak, żegnany czule przez Hankę, pragnący rycerskim animuszem i jakimś myśliwskim czynem dokonać zupełnego podboju, wreszcie bojar — Szołwił i łowczy — Łagęza.

Mroźny, a jasny był poranek, w którym mała drużyna dostojnego myśliwego opuszczała zamek Wawelski, a kierując się najkrótszą drogą wzdłuż prawego brzegu Wisły, już po kilku godzinach dotarła do dworku myśliwskiego w Niepołomicach. Na przyjęcie osoby królewskiej i gości było już wszystko przygotowane — nawet o warcabach nie zapomniano. Wszyscy byli w doskonałych humorach — sam król — zwykle małomowny — ciskał teraz brylanty dowcipu, opowiadając o swoich przygodach łowieckich w lasach litewskich, lub strasząc to Opolczyka, to komtura epizodami z życia niedźwiedzi. Komtur był milczący i jakiś tajemniczy. Skoro znalazł się sam, wyszedł na taras zamku i począł badać pilnie jego położenie i rozmiary: być może, że widział już w duchu kapitułę krzyżacką, zgromadzoną tutaj w wielkiej sali biesiadnej, przy rycerskiej zabawie kiedyś, gdy potężnego króla nie stanie i gdy ciężka łapa krzyżackiej hydry spocznie na całym obszarze pięknej polskiej kra-

iny. Tak myślał krzyżak, ale znać rychło pier-
chy z jego wyobraźni dumne marzenia, bo west-
chnął i wrócił do wieczery. Właśnie w tej chwili
król podniósł kamienny pułar z miodem i w te
odezwał się słowa: „Ocho! nie polowałem w mo-
jej kochanej Litwie na wielkiego zwierza, setki
żubrów i niedźwiedzi już ubiłem, ale w Polsce
poluję pierwszy raz i dlatego cieszę się jutrej-
szem spotkaniem, tem więcej, że wróżę sobie
z pomyślnego wyniku wiele dobrego. Dla mnie
niedźwiedź nie nowina, ale waszmościom zalecam
należyłą ostrożność, a przede wszystkim tobie
Komturze, który niedźwiedzia nie widziałeś. Wy-
pijam ten kielich na pomyślność jutrzejszego
dnia!”.

Wszyscy w kornem milczeniu pochyliłi gło-
wy, dziękując monarsze za łaskawe słowa.
Po wieczery odszedł król z Opoleczykiem
do swoich komnat, inni zaś spoczęli w dużej
zamkowej sypialni.

Na drugi dzień już przed wschodem słońca
wyruszył orszak królewski w głąb puszczy. Na
przodzie kroczył wyborny jej znawca, łowczy Janko
Łągęza, a szedł i prowadził pewnie do legowisk
otopionych niedźwiedzi.

Król i towarzysze musieli za przykładem
łowczego schylać się co chwilę, by się przesuwać
po pod pojęzne konary odwiecznych sosn, prze-
dzierać się przez krzaki podszycia, strzepywać

spadający na głowy i oczy śnieg, wiszący długimi kiściami na konarach i poruszyć się powoli, ostrożnie i cicho. Psy szły przed myśliwymi i wietrzyły. Naraz wpadły w wązki, gęsto zarosły parów i poczęły zajadle naszczekiwać; myśliwi skoczyli za nimi i przebywszy wąwóz, dotarli do kępy sośniny, skąd właśnie dochodziło gwałtowne ujadanie. I nie upłynęło tyle czasu, ile go potrzeba na odmówienie pacierza, gdy z gęstwiny wypadł ogromny miś i pomrukując z cicha — począł się opędzać psiarni. W królu zagrała krew, zostawił towarzyszy, a sam z Łagężą tylko — poszedł do niedźwiedzi. Może krok, a może dwa dzieliły zapaśników... Już go miś spostrzegł, już psy porzucił, a mruknawszy groźnie i błysnąwszy białymi kłami, stanął na tylnych łapach i runął wprost na króla. Ten, oparty o silne drzewo, ujął w obie ręce ostrą dzidę, przemienił się cały w wzrok i czekał. Jeden moment i niedźwiedź ugodzony dziurą w serce w chwili, gdy pierś odsłonił, zwałił się martwy pod stopy króla. Cios był tak mistrzowski, z taką siłą i wprawą zadany, że przebił na wylot zwierza. Łowczy przyskoczył do powalonego niedźwiedzia, wyciągnął dzidę, otarł krew śniegiem i podał ją z pokorą królowi...

Okrzyk podziwu wydobył się mimowoli z piersi wszystkich obecnych, lecz zaledwie przebrzmiał, dał się słyszeć z przeciwnej strony rozpaczliwy krzyk. Król oprzytomniał pierwszy, ski-

nał na Łagęzę i we dwóch pobiegli w stronę, skąd dochodziło ich wołanie. Może na odległość strzały z łuku na małej polance rozgrywał się straszliwy dramat. Otrzymał niedźwiedź siedział na człowieku i zadawał mu ciosy potężną łapą.

Król i Łagęza, zbliżywszy się szybko, jakby bityskiem jednej myśli przejęci, rzucili swe oszczepy w pierś chwilowo niezdecydowanego zwierzaka. Razony śmiertelnie, zerwał się jeszcze, chciał swych wrogów dosięgnąć, ale stoczył się tylko ze swej ofiary i wyrzucając fale posoki z paszczy, zginał. Kilka drgnień, kilka skurczeń odruchowych i było po wszystkim...

Z ziemi podniósł się srode poturbowany Wilhelm, wielki komandor krzyżacki. W chwili, gdy król gotował się do śmiertelnych zapasów ze swoim niedźwiedziem, zauważył komtur drugiego, który obudzony szczekaniem psów, wyszedł na polankę i przyglądał się niezwyktemu widowisku, a nie chcąc dać się wyprzedzić królowi, ruszył niepostrożenie sam na misia. Nie zmierzł jednak siłą na zaimiary, przegrał sprawę z polskim niedźwiedziem i omal nie wyzionął ducha w jego uścisku. Gdyby nie król, byłby trupem.

To też teraz, aczkolwiek ciężko ranny, przyczołgał się do króla i ucałował jego uziorną prawicę.

Na rozkaz Jagiełły, interesującego się szczerze losem Krzyżaka, zrobiono na prędcie nosze i odniesiono rannego do zamku; wkrótce też wyzdrowiał.

Z niedźwiedzi ściągnięto skóry, obcięto łapy i te trofea odwieziono za królem do Krakowa.

Na ciągu kaczek.

Było to w połowie wrzesnia. Słońce, naświe-
ciwszy się przez dzień cały, szło ku zachodowi,
rzucając czarowne, złote blaski na rzadkie chmu-
ry, na lazur wśród nich, na smugi pola z żółknie-
jącą kukurudzą i ścierniskami, na czuby wierzb
i trzin, schylonych nad spuszczołym stawem.
Ogromne jego zwierciadło, bardzo gładkie, jakby
z dziwnego płynnego metalu ułane, niepokojone
chyba figlarnym wyskokiem karpia, lub szczupa-
ka, pruły dwa czółna. Siedzieli w nich myśliwi,
co poznać było po błyskach łuf, a spieszyli się
śnać bardzo, gdyż czółna pomykały z szybkością
strzały po gładkiej tafli i gdyby nie miarowe ude-
rzenie wiosel, zdawałoby się mogło, że czółna nie
płyną, lecz lecą.
Jak przed bitwą rozdziela doświadczony wódz
swoje pułki, wyznaczając każdemu odrębną rolę,
tak i teraz na stawie rozdzieliły się czółna i po-
płynęły w przeciwną stronę ku przegom, trzeci-
nami otulonym i znikły z oczu, zaszyszy się głą-
boko w siłowie.

Jedno z nich wjechało w długą i wąską szyję stawu i zatrzymało się w jej połowie przy szuwarach, graniczących z otwartym zwierciadłem. Wioślarz wyszukał wśród oczeretu wolniejszą przestrzeń, spróbował wiosłem głębi, wyciągnął snopek suchej trzciny i pogrążył go na dno, wzmacniając jego położenie nogami. Na snopek położył szeroką deskę. Jeden z myśliwych, dla którego te przygotowania czyniono, wysiadł z czołna i stanął w wodzie. Za nim wyskoczył pies. Deska poddała się trochę pod ciężarem strzelca i ciało jego pochyliło się kilkakrotnie nad trzęsawiskiem, wnet jednak zdobył równowagę i chociaż woda sięgała mu prawie do kolan, stanął wreszcie dobrze i bezpiecznie. Ubranie jego zlało się w jedną całość z otaczającą go zielenią. Czołno z innym strzelcem posunęło się dalej. I uciszyło się na chwilę wszystko.

Niewtajemniczonemu, a przechodzącemu w tej chwili nad stawem, ani przez myśl by nie przeszło, że urządzono kilka zasadzek w różnych kątach spokojnej zazwyczaj wody i że za chwilę rozdrą powietrze grzmoty strzałów.

Słońce mknęło tymczasem coraz chyżej ku swemu kresowi, zmieniając barwę złotą na purpurową, we wszystkich odcieniach. Staw zapomniał o tem, co było przed chwilą, i ożywił się; zagrało na niem życie całą kaskadą tonów i ruchów. Pierwsze hasło dał drozd trzcinowy, po-

gwisząc wesoło, zrazu cicho i nieśmiało, potem coraz głośniej i potężniej, za nim remizy, wróble trzcinowe, kurki, łyski, piskurki szukające noclegu w siołach i jaskółki, gromadzące się już do odlotu. Potworzyły się na poczekaniu całe chóry ptasie w trzcinach, zdających się za dnia, w skwarze słonecznym, nie gościć ani jednej żywej istoty. Nad stanowiskiem samotnego myśliwego zamajaczyła naraz chmura szpaków. I one przyleciały na nocny spoczynek.

Ledwie pousiadły i zdobyły z trudem równowagę, czepiając się bezkrytycznie wątlami nóżkami gałązek wysokiej trzciny, a już rozpoczęły wieczorny koncert.

I świst i pisk i zawodzenie jakieś, pełne nieokreślonych nadziei życiowych i nadsładowanie innych ptaków — wszystko to zlało się w przędziwny rozgwar rozśpiewanych piersi ptaszek. Wrażliwe ucho myśliwego dosłuchuje się w szpalczej symfonii i pieśni słowika i śpiewu skowronka i świstu wilgi i poważnych akordów dzwoniącej makołagwy. Dziwnie te ptaki gwarzyły. Kulawy samczyk, przytulony do samiczki, opowiadał jej cichym głosem o przygodach dnia, skarżył się na kobuzę, który mu porwał najdziwniejszego syna, wyrzekał na młodego studenta, który rankiem podszedł żerujące stado, strzelił z poza kukuru-

dzy i zranił ciężko jedną z córek.

Inny samczyk opisywał całemu towarzystwu zabawną historię o swojej przygodzie z chrząszczem, wreszcie inny przedstawiał program jutrzejszej wyprawy na odległy, a świeżo zorany łąn, pełny tłustych i smacznych pędraków.

I samce i samice w ogromnej większości opowiadały zgodnie z jakąś tępą bojaźnią i nerwowem drżeniem o żarłocznym sokole, który zjadł je ściga i codziennie kilka szpaków porywa, okrywając żałobą wszystkie prawie rodziny.

To wszystko słyszał strzelec w pobliżu.

Tymczasem robiło się już ciemno, słońce zaszło, a wysokie trzciny kładły długie cienie na wodzie. Kszyki wstały ze swoich żerowisk, wabiły donośnie, a bujając szybko nad stawem zataczały szerokie koła. I czajki odezwały się i żaby tajemniczo rzechotać zaczęły. Małe kurki wodne uganiały za owadami, drepcząc chwiejącym się krokiem po zielonych mchach wodnych, dochodziły aż do nóg strzelca, zaglądając mu ciekawie i naiwnie w oczy. Wreszcie sokole jego oko dostrzegło na wypogodzonym, purpurą jeszcze oblanym niebie, sylwetki ciągnących podgorzałek. Leciały równo i z takim impetem, jak gdyby wcale nie miały zamiaru wypocząć na wabiącej jasnej i dobrze znajomej, odrzynającej się ostro od ciemnych zarośli, toni.

I świst ich lotek ucichł. — Myliłby się jednak bardzo, ktoby sądził, że odleciały. Oto nad

końcem odnogi zawróciły nagle i znizywszy lot, wróciły, lecąc szybko nad samą wodę w kierunku, skąd przed chwilę przybyły, kręcąc przytem główkami na wszystkie strony i lustrując pilnie zarówno wodę jak i brzegi. To forpoczty, widocznie straż przednia, badająca teren. Nasz myśliwy złożył się raz i drugi, ale nie strzelił. Próbował tylko przykładać, coś mu zawadzało, bo rozchylił szuwar, złamał kilka łodyg i rozszepał horyzont. Szpaki zasłyszawszy chrzęst, krzyknęły ostrzegawczo i uciły.

Naraz z szumem nadlatuje stadko cyranek i siada na wodę tuż przed strzelcem z takim rozmachem, że woda fontanną wystrzela w górę. Czarne ich punkty tkwią nieruchomie, ta lub owa pije wodę, podnosi głowę do góry i siedzi ci-cho odęta. — Myśliwemu wali serce jak młotem, słyszy jego miarowe bicie, drży z podniecenia, ale wytrzymuje i nie strzela, gdyż wie dobrze, że to „wabiki” przyleciały. Wnet donośne „krek”, „krek” słyszyć się daje i znowu kilka kaczek siada, a każda, dobrze widocznie najedzona, wodę popija.

Co za widok wspaniały, ile niezapomnianych wrażeń przeżyje w takiej chwili czatujący myśliwy! Na przeciwnym dalekim brzegu wystrzela stęp ognia, widać kaskadę rozsypanych się iskier, dochodzi huk strzału. To sąsiad wypalił. Cyraneki



zrywają się z krzykiem z przed nosa. O, nie będzie już czekał dłużej, szkoda każdej minuty!

Ledwie echo sąsiedzkiego strzału przebrzmiało, zachrapał nad nim kaczor krzyżowy; widzi dokładnie jego duży profil, podobny do dziwnego krzyża, widzi jak stanął w powietrzu, wzniosł wysoko skrzydła, wygiął czarną szyję, wyciągnął pomarańczowe nogi i spadać zaczął. Ale nie usiadł dobrowolnie. Rozległ się huk wyststrzału i piękny płak runął ciężko na wodę. Dał nura, ale wnet wypłynął, pomykał przez chwilę szybko z wyciągniętą szyją, bił konwulsyjnie skrzydłem i zniemuchomiał. Jeszcze jedno drgnienie ciałem, jeszcze jeden słaby odruch nogi i żyć przestał, znając się dużą, jasną plamą podbrzusza.

Szpak! po strzale zerwały się jak szalone i wyniosły się z przytłumionym wrzaskiem szybko, a dyskretnie w inny, bezpieczniejszy kąt stawu. Tymczasem kanonada zaczęła się na dobre. Co chwilę to tu, to tam, wykwiłała długa smuga czerwonego światła. Ożywienie wśród strzelców niebywałe, ruch wśród kaczek niezwykły; siada-ja, wzlatują, uciekają z miejsca pogromu i znów zapadają.

Samotny strzelec pali bez wypoczynku. Jaksne bukiety jego strzałów przybierają różne kienunki — to pionowy w górę, to ukośny, to poziomy — do kaczek siadających, zrywających, a nawet już zapadłych. Jakaś żądza zniszczenia



opanowała jego zmysły, chciałby wszystkie za-
 bić i zdobyć rekord tego wieczora. Za każdym
 strzałem trup. Czasem duże, krwawe łuny raz za
 razem znaczą się w cieniu i dwa echa rozdzierają
 powietrze. Pewnie rodzina kacza pod przewodni-
 ctwem starej doświadczonej matki nadlatuje, a
 przywitana dwójką zbiera się co żywo i umyka
 z rozpaczliwym kwakaniem.

Zostają jednak zuchwalsze i uparte sztuki.
 Czy nie słyszają kanonady? Czy może, wiedzione
 ciekawością, siadają w bocznych zatokach i ta-
 chach i wypływają z bliskości na zdumionego strzelca,
 by mu się przypatrzeć?... Podniecony powodze-
 niem, oszalały krwiożerczym instynktem, mierzy
 w ruchliwe punkty na jasnej smudze wody —
 strzela i strzela.. Prawie bez ruchu zostają na
 miejscu.. Mija 20 minut polowania na ciągu, już
 jest ciemno, już słychać tylko świst lotek, ale nie
 widać przalającej prawie nad głową kaczki.
 Czas więc zaprzestać krwawego dzieła!

Rozbrzmiewa sygnał, ostry ton gwizdawki
 rozlega się nad wodą i słychać komendę: „Lord,
 apport!“ Z pod trzciny wypływa kochany, wierny
 pies, który siedział dotychczas cicho obok myśli-
 wego, skomląc tylko za każdym strzałem. Pod-
 pływa do każdej kaczki, bierze ją wytwornie
 w potowie ciała i przynosi do pana. Pracował
 długo!... Szczęśliwy strzelec naliczył ośmaście
 kaczek.

Czółno nadpłynęło, zabrało strzelca, psa i łupy. Tam, gdzie się za dnia dwa czołna rozdzieliły, zjechały się teraz w nocy. Wszyscy myśliwi zadowoleni, słysząc wesole głosy.

Kto raz był na takim ciągu, nie zapomni o nim do śmierci i z pewnością żadne łowy, nawet na jelenie, nie dadzą mu tych wrażeń myśliwskich i takiego zadowolenia, jak polowanie na ciągu.

Kszyk.

Kszyk, to ptak niezmiernie sympatyczny, ozdoba łąk i błot, cel ambicyi myśliwskiej zarówno młodych, stawiających pierwsze kroki, jak i starych, wytrawnych, nawet znakomitych strzelców. Rachuje się za „szlukę”.

Na samo wspomnienie o kszyku robi się jakiś przyjemnie myśliwemu...

Gdy minie połowa lipca, rozpoczyna się polowanie na kszyki; każda inna zwierzyzna zawodzi, on nigdy — na błotach, na których zerował w roku minionym, będzie z pewnością i w nowym sezonie, a zabraknie go chyba wtedy, gdy błoto wyschnie. Niestety coraz mniej tej zwierzyny u nas.

Czy systematyczne osuszanie bagien, czy też może wybijanie ich tysiącami w jednym czasie i w jednej okolicy, spowodowuje gwałtowne zmniejszanie się liczby tych długodziobych, ku rozpaczmy myśliwych. Może obraty sobie inny szlak do odbywania peryodycznych wędrówek, bezpieczniejszy, bo dalszy od wszelkiej kultury...



Jest to płak przelotny — gość miły, którego widzi się i strzela tylko w pewnych porach roku, właśnie wtedy, kiedy, oprócz rogaczy i kaczek czego innego strzelać nie wolno.

Może ta ostatnia okoliczność wpłynęła tak ujemnie na stan liczebny kszyków w czasach obecnych.

Kszyk dorasta wielkości kwiczoła — może troszkę mniejszy, ale zato bardziej krępej i muskularniejszej budowy ciała, szczególniej w mięśniach piersiowych. Upierzenie jego na ogół dostosowane do zwiędłych, zrudziałych traw i zgniłych roślin wodnych. Na ile brunatnem całego upierzenia widzi się rdzawe plamki lub smugi; najwazniejszą jest podłużna, przechodząca przez środek głowy i szyi, i cztery poprzeczne przez ramiona i skrzydła. Ogon tworzy 14 rdzawych siarówek, złożonych wachlarzowato. Spód ciała jest biały i tem się głównie krzyk różni od dubelta, który oprócz tego, że jest nieco większy, ma podbrzusze poprzecznie prążkowane, lub brunatno nakrapiane. Z głowy wychodzi długi na 8 cm dziób, na końcu spłaszczony, wewnątrz drobno nacinany, barwy ciemnej, o nadzwyczaj czułej błonie. W dziobie umieszczony długi język. Na głowie, stosunkowo małej, błyszczą bardzo duże, ciemne, pełne wyrazu oczy. Ciało spoczywa na wysokich nogach barwy rogu, nagich do pięty, zakonczonych czterema palcami, spiętymi małą

blonką. Wyrośnięty kszyk dochodzi do 28 cm długości (oczywiście z dzióbem), do 45 cm szerokości w rozskrzydłu, same skrzydła mają 14 cm, a ogon 6 cm. Żywi się owadami, robaczkami, małymi, o cienkiej skorupie, ślimakami, zjada też i pewne, miękkie części roślinne. Wtyka często dziób w błoto i wyławia czułym jego końcem robaczki. Lubi żerować na miejscach mokrych, stratowanych przez pasące się bydło, a pozostałości bydłęce nakłuwają gęsto dzióbem. Brodzi w wodzie chętnie. Przy obfitem pożywieniu nabiera tłuszczu. Mięso ma delikatne, soczyste i smaczne, stanowi ono na stole dziczyznę przedniej jakości.

Właściwą ojczyzną kszyka jest północ Europy i Azji. Na zimę odlatuje do południowej Europy, północnej Afryki, w szczególności do Egiptu, dociera w tej części aż do źródeł Białego Nilu, a w Azji do delty Gangesu. W Polsce był bardzo pospolity. Ale jeszcze i dzisiaj występuje u nas w pokaźniejszej liczbie aniżeli dubelt i gnieździ się wszędzie, gdzie tylko znajdzie sprzyjające warunki. Podczas przelotu na wiosnę nawiedza każde bagienko, pożywi się i wypocznie na niem i leci dalej, albo zostaje na stałe. Okolic suchych nie znosi.

Przybywszy wczesną wiosną, raduje ucho myśliwego dziwnym, często się powtarzającym, warczącym dźwiękiem, podobnym do bębnienia,

jaki jego rozpostarty ogon i drgające skrzydła wydają, gdy zawieszony w powietrzu, wabi samczkę w trawie ukrytą i spada ku niej, gdy go zawezwie głosem dyskretnym, pełnym upaja-
jącej miłości. Dźwięk ten charakterystyczny, wy-
dawany silnemi lotkami, zwie się w gwarze my-
śliwskiej "bębnieniem".

Legnie się już w maju na błotach, a wybiera na gniazdo kępy, oblane wodą dokoła. Samica
nie jaja, a siedzi na nich 17 dni. W chowaniu
potomstwa jest bardzo cichy i ostrożny — nie na-
tęce nie zdradza jego bytności. Młode kocha
i długo pielęgnuje. Na ostrzegawczy krzyk rodzi-
ców zaszywają się one głęboko w trawę; dobry
pies znachodzi je jednak i żywe aportuje. Tosamo
potrafi i lis. W połowie lipca młode podlatują,
w połowie sierpnia dobre już są na strzał. Wnet
się rozchodzą i żyją osobno, na własny rachunek,
a chociaż ptaki pojawiają się gromadnie, przecież
nie należą do towarzyskich — wrodzony egoizm
na to nie pozwala.

Z jednych okolic w drugie ciągną podczas
nocy pochmurnych, a to z obawy przed drapież-
nymi ptakami. Sokoty, krogulce, nawet małe
drzemliki zawzięcie je ścigają.
Zdaje się, że kszysk sypia tylko w porze po-
łudniowej podczas największego upału i wtedy
go najłatwiej upolować. Zwykle jest ostrożny,

przed psem nie dotrzymuje, ucieka, przysiadając co chwilę i dopiero o kilkadziesiąt kroków zrywa się z głośnym krzykiem trwogi „kszk“, „kszk“, a zanim wzniesie się w górę, robi kilka nagłych, błyskawicznych zwrotów i potem dopiero płynie w prostym kierunku, lub ukośnie w górę, zapada znowu daleko i z trudnością daje się psu ponownie podejść. Czasem wznosi się odrazu w górę, zatacza wielkie koło i ściągawszy skrzydła, spada lotem błyskawicy w miejscu, skąd przed chwilą wzleciał, lub w ziemniaki, a nawet w kukurudzę. Pływa i nurkuje w razie potrzeby, w ucieczce przed jastrzębiem.

Pod jesień, gdy już wyprowadzi młode i sam się dobrze wypasie, staje się mniej ostrożnym i lepiej przed psem dosiada, chociaż, zrywając, nie zaniedbuje swych nagłych w locie zwrotów, dręczących myśliwego i przyprawiających dobrych nawet strzelców o częste pudła. Strzał do krzyka należy rzeczywiście do trudnych. Bardzo składowa i pewna strzelba, bystre oko, szybki strzał rzutowy, cienki śrót, oto środki, zapomocą których zastrzelić można kszyka w locie.

W miejscach lęgowych przebywa kszyk długo, zwykle do połowy listopada, czasem na oparzeliskach zimuje. Najponętniejszym bywa atoli przy końcu września. Znane są „kszyki-michałki“ z najlepszego mięsa. Polowanie na nie — jest jednak zawsze utrudzające: trzeba brodzić po

kolana w błocie, przeskakując z kępy na kępę i czynić rozpaczliwe wysiłki, by choć jeden krok naprzód zrobić i stanąć pewnie przy strzale. Uczucie niecierpliwości, zwłaszcza po kilku pułdach, podrażnia system nerwowy strzelca, go-rąco i pragnienie robią swoje, zmęczenie tamuje oddech, a pot zalewa oczy. Gdy kszysk się zerwie — nie trudno go w takich warunkach chybić. Takie samo polowanie w późnej jesieni bywa nawet fatalnem dla strzelca: może się łatwo zaziębić i nabawić ciężkiej choroby.

Chodząc z kszyskami, trzeba iść powoli i co chwili wypoczywać, zmęczysz się, popijając trochę czarnej kawy z koniakiem, do zrywającego się nie strzelać zaraz, gdy zygżaki czyni, ale wpzód stanąć pewnie nogami, płaka wypuścić na jakie 50—60 kroków i dopiero wtedy strzelić spokojnie. Widziałem myśliwych strzelających kszyski na 80 kroków, z rezultatem zawsze po-myślnym.

Niezwykłe polowanie.

W piękny, mroźny dzień grudniowy wybra-
liśmy się saniami z kolegą po strzelbie, p. dr. M.
i w towarzystwie naszych żon na Bukowinę, do
wsi Jużyniec, odległej o 14 km od Zaleszczyk.
Jest tam gęsto zarośnięty i duży, 180 morgowy
staw, na którym i nad którym w jesieni prawie
co tydzień polujemy na kszyki, dubelty, kaczki,
zające i t. d. i z którym łączą się najmilsze wspo-
mnienia naszych tryumfów. Obfitość kaczek by-
wa tam niekiedy nadzwyczajna; miewałem sezo-
ny, w których ponad 100 sztuk zastrzeliłem,
a dodać muszę, że nietylko ilość, ale i różnorod-
ność ich, zwłaszcza późną jesienią i gdy staw
spuszczony, jest bardzo wielka. Dotychczas nali-
czyłem 10 gatunków kaczek, wśród których wy-
różnia się szczególnie przepiękna kaczka ro-
żeniec albo kaczka strzałogon. Otóż tam
wyjechaliśmy, ale nie na kaczki, bo staw już od
kilku tygodni pokrył się lodem, ale raczej dla
przyjemności i dla odetchnienia świeżem powie-
trzem. Być może, że liczyliśmy i na to, iż idąc

Była to duża samica, mająca do 10 kg. wagi i mierząca z ogonem 1 m. 30 cm. Strzeliłem z lewki śrutem nr. 6; strzał pokrył lewą komorę i dlatego zwierzę, znane ze swej żywotności, prawie w ogniu zostało; trzona słabiej, byłaby uszła do rzeczki i przepadła bez śladu.

Jakąż radość mieliśmy wszyscy! Ile było oglądania.. Panie niosły początkowo łup same, taką im to przyjemność sprawiało.

Ze w sławie mogły być wydry, przypuszczam choćby dlatego, że siedząc nieraz wieczorem na ciągu, obserwowałem podejrzane ruchy wody i mnóstwo baniek powietrznych w tych miejscach, gdzie woda falowała, ale nie byłem pewny, czy tam było; myślałem, że to raczej ryba pływała. A więc i w stawach o namuliściem dnie i niskich brzegach mogą być wydry. Jednak w opisanym wypadku dziwić musi każdego to, że wydra tak daleko od stawu odeszła i że, słysząc niewątpliwie głosy nasze, nie wyniosła się zawczasu ukradkiem. W łatwy sposób przyszedłem do takiego strzału! Lordowi go jednak zawdzięczam.

Kokosznik.

Wyszedłem do swoich gołębi, by im podać karmę. Zaledwie otworzyłem gołębnik i kilka gołębi wyleciało, gdy naraz powstał wśród nich niezwykle popłoch: jeden uciekł obok mojej ręki do gołębnika, inny wleciał do drewnitni, inny znowu schronił się aż w piwnicy, a kilka wzbiło się w powietrze. Oglądam się i widzę, jak tuż ponad domem, nisko, nadlatuje kokosznik. Spędzając jednego gołębia, który został jeszcze na dachu, puszcza się za nim w pogoń, i okrążywszy ogród, dogania i nad samym dachem chwytając w szpony. Ujawszy mocno ofiarę, opuszcza się w dół i siada gdzieś za domem. Nie namyślając się wiele, przybiegam do pokoju, chwytam za strzelbę, biorę ze sobą cztery naboje i z postanowieniem gonienia za rabusiem choćby kilka kilometrów, wychodzę. Za domem widzę go rzeczywiście na śniegu; siedział na gołębiu. Spozstrzegł mnie jednak zawczasu i wzleciał, ale razem ze zdobyczą. Strzelić jeszcze nie mogłem, gdyż nie zdążyłem włożyć naboju, zresztą nie zoryen-

towałem się w sytuacji. Poleciał o jakie 200 m
 dalej i siadł w ogrodzie, za wysokim parkanem.
 Poszedłem za nim, a ponieważ po chwili zaczął
 już jeść, był mniej ostrożny i nie zważał na mnie.
 Wyszukałem, położywszy się na ziemi, mały
 otwór w parkanie nad ziemią, włożyłem wch
 koniec lufy i wiawszy kokosznika na „muskę”,
 strzełem z odległości 60 kroków. Jastrząb zo-
 stał. Raniony w skrzydło, stawał zacięty opór.
 Dostałem go do rąk dopiero przez zarzucenie
 nań futerka. Był to duży samiec. Cała awantura
 trwała nie dłużej jak 10 minut, a gołąb był już
 do połowy zjedzony: głowa, szyja i część piersi
 pograżyły się w wolu kokosznika. Następnego
 dnia byłem na przełazce w polu i znalazłem
 w dwóch miejscach pióra po zjedzonych kuro-
 patwach; prawdopodobnie ten sam osobnik był
 i tu sprawcą.

Ze względu na nieobliczalne wprost szkody,
 jakie kokosznik zjada łowiec i gospodar-
 stwu, podaję jego opis i niektóre ciekawsze daty
 z jego żywota, jakie sam zebrałem, obserwując
 go od bardzo dawna, albo słysząc o nich od kogo
 innego.

Kokosznik, jastrząb, gołębciarz, kuropat-
 wiarz, jest wielkim i silnym drapieżcą, o długo-
 ści ciała wraz z ogonem około 60 cm a w sięgu
 24—28 cm. U starszych głowa, grzbiet, barki,

skrzydła i ogon jasno-brunatne, ze słabym metalicznym połyskiem, nadto każde pióro na tych częściach ciała ma ciemniejszą obwódkę. Pod szyją i na piersiach jest upierzenie wogóle jaśniejsze, przeważnie popielate, w poprzeczne, brunatne prążki, jak u kukułki. Ze spodu, w nasadzie ogona, wyrastają mu dość długie, białe i puszyste pióra. Za oczyma nosi ciemne bokobrody, czem przypomina wędrownego sokoła, nad okiem widnieje biała pręga. Wszystkie pióra mają sprężyste chora-giewki i gładko przylegają do ciała. Lotki są silne, nierównej długości, skrajne najdłuższe, sięgające do trzech czwartych sterówek, które są pod spodem rzadko prążkowane, wszystkie jednako-wo długie i zaokrąglone na końcach. — Ciało jest szczupłe i dość smukłe. Głowa proporcjonalna, o czole i ciemieniu spłaszczonem. Dziób silny, o długości 1 cm, od nasady hakowato zgięty, barwy rogowej; dolna część dzioba o połowę krótsza, na całej długości prosta, o krajcach bardzo ostrych, a końcu wyraźnie lejko-watym. Paszcza szeroka, blado-czerwona, z grubym, mięsistym językiem. Górna połowa dzioba opatrzona u nasady ciemno-żółtą woskówką, w której widać dość duże, okrągłe otwory nosowe. Oczy boczne, okrągłe, duże, z tęczówką pomarańczowo-żółtą, opatrzone dwiema powiekami; nad niemi wyrasta rogowy

daszek, służący za ochronę oka, gdy jastrząb uderza na łup, znajdujący się w krzakach. Ciało spoczywa na dwóch wysokich, silnych nogach, upierzonych po dolną połowę skoku, a okryte od pięt zeschłą, tarczową skórą barwy żółtej; nogi mają po cztery palce, z których trzy zwrócone wprzód, a jeden w tył, opatrzone długimi, bardzo ostrymi szponami, szczególniej palce tylny; trzeci, wewnętrzny, jest przy nasadzie spięty błoną, inne palce są wolne; pod każdym z nich widzimy po dwie wyraźne poduszeczki. Wyrośnięty kokosznik waży do $1\frac{1}{2}$ kg. Jastrząb ten żyje prawie w całej Europie i środkowej Azji, nie wszędzie jednak w jednokowej pojawia się ilość. W Anglii np. należy do rzadkości, tak, że przybycie jego notują w dziennikach; na Islandyi wcale go niema. Również jest dość rzadki we Włoszech i w Hiszpanii. Natomiast we Francji, w Niemczech, w Skandynawii, w Rosji i w Austrii, zwłaszcza w Galicji, jest zjawiskiem zwykłym; w Malej Azji, w Syberji i w Persji bardzo częsty. Niekiedy odbywa dalekie podróże, ciągnąc za płacem przelotnem aż do Egiptu, ale takie wędrówki należą do rzadkości, gdyż lubi życie osiadłe i przywiązuje się do ojczyzny. Zwykle w listopadzie rozpoczyna łupieżcze wyprawy, przenosząc się z wielkich łasów w pobliże wsi i miast. Lubi okolice pagórkowate i zalesione. Jako krwiożerczy i nienasy-

cony rabuś, żyje samotnie, nie znosząc w sąsiedztwie konkurencyi drugiego. Odznacza się dzikością, śmiałością, siłą i inteligencyą. Lot ma szybki mimo krótkie skrzydła, i pewny, zwłaszcza, gdy uderza. Czasami wzbija się w górę, chwilę krąży i wtedy przypomina lotem gołębia — grzywacza. Często jednak lata nisko nad ziemią, nie poruszając prawie skrzydłami, i omijając dziwnie zręcznie wszystkie przeszkody, jak gałęzie drzew, krzaki i t. d. Goniąc za gołębiem lub kuropatwą, obiera najkrótszą drogę, z ukosa. W pogoni oblicza przypuszczalny kierunek lotu swej ofiary i zabiega jej zawsze drogę. Czatując, siada zwykle na grubych, niskich gałęziach, blisko pnia; siada czasem i na dachach. Głos ma gdańczy w czasie parowania, w przestachu ćwierka, tak samo odzywa się, gdy wystrasza z gęstwiny drozdy lub szpaki.

Widzieć go można o każdej porze dnia, ale najczęściej wczesnym rankiem lub popołudniu. Przelatuje znaczne przestrzenie, wraca jednak chętnie do miejsca, gdzie mu się polowanie powiodło. W sadach leci nisko między drzewami, siada, niespodzianie na grzbiecie kury, zaraz ją zabija i jeść zaczyna. We wsi obiera drogę przemykami i między chatami: każda luka, każde przejście jest dobre dla niego. Zdumiewająca żarłoczność zmusza go do ciągłych łowów i dla-

tego jest zawsze niezmordowanie czynny. Padliny nie tyka.

Poluje na wszelkie plectwo: od dropia i głuszcza — aż do wróbla; uderza na zająca, wiewiórkę, na szczura i na mysz. Ulubionem atoli jego pożywieniem są kurapatwy, gołębie, bażanty, młody drób i młode zające. Paniczny strach ogarnia stworzenia, które się z nim zetkną; często zdreptwiałe, rażone strachem, oczekują z rezygnacją śmierci, a łupieżca tem łatwiejsze ma zawsze zadanie, że zjawia się nagle. Wszystkie mu jedno — czy to kraj lasu, czy luka między chatami lub drzewami, czy parów, czy trzcina nad stawem; jak błyśkawica spada na zdobycz, chwytą, unosi kilkadziesiąt metrów dalej, siada i zjada.

Chociaż ptak lub zwierzę ginie zazwyczaj już w szponach jego, jednak dla pewności zacytna ucztę od głowy; pewnem uderzeniem dzioba zrywa czaszkę, wyjada mózg, a potem dopiero skubać zaczyna z grubsza i dobiera się do mięsa, a polyka kąski z pierzem, sierścią i kośćmi. Niestrawione części pokarmu, zbite w kule, wyrzuca później dziobem.

Gołębie, tak swojskie, jak i dzikie, stanowią ulubioną jego potrawę, bo i mięso ich smaczne i ciężar niewielki; może ponieść zdobyć i pół kilometra. Gdy uderza na nie, stara się zawsze odbić jednego od stadka, a jeśli mu się to uda,



poprawia się w powietrzu (co poznać po wstrząśnieniu ogona), i lotem błyskawicy goni: jeśli gołąb tylko niżej od niego, przepada bez ratunku: dopędza go w ciągu kilku sekund, chwytając. Goniąc na blisko, naśladuje lotem przeziwnie wszelkie zwroty ofary. Jeśli gołąb jest graczem i wzniesie się odrazu w górę, zwykle uchodzi, gdyż jastrząb męczy się rychło forsownym lotem. W pogoni nie żenuje się obecnością ludzi: można krzyzczeć, rzucac kamieniami — wszystko na nic! Widziałem, jak chwycił gołębia na ślacy kolejowej w Czortkowie między wagonami, w chwili, gdy pociąg nadjeżdżał i gdy rozlegał się świst lokomotywy. Siadł zaraz za magazynem i zjadł zdobyc. Zdarza się, że wysunąwszy do chwytu tylko jedną nogę, nie ujmując dobrze zdobyczy i gołąb wtedy spada na ziemię. Jeśli nie ma w pobliżu nikogo, podnosi łup, jeśli zaś przybiegnie ktoś na ratunek, odbija gołębia, ale ten ginie zazwyczaj rychło wskutek głębokiej rany, choćby jednym szponem zadanej.

Jeszcze zapalczywszym jest w polowaniu na kuropatwy. Przed laty, gdy byłem jeszcze bardzo młody, wyszedłem jesienią na przechadzkę za folwark. Wśród łanu kartofli stała siera — a dookoła niej było trochę wolnego miejsca. Podchodząc do sier, spędziłem stadko kuropatw — zerwały się i uleciawszy kilkadziesiąt kroków, nagle pod samą sierą zapadły. Zdziwiony, ogła-

dam się i widzę ogromnego kokosznika, szybującego nisko ku mnie. Siadł natychmiast na rogu sterty i nie zważając na mnie, zaczął rozglądać się po ziemi i szukać za kuropatwami. I byliśmy blisko siebie... Chciał zapewne, bym mu je spędził i ułatwił polowanie. Podszedłem całkiem blisko, rzuciłem nań kijem i dopiero wtedy zmusiłem do odlotu. Najłatwiej mu dostać kuropatwy w zimie: zbiedzone i zziębnięte ptaki siedzą wtedy w kupce na śniegu i są zdala widoczne. Uderza na nie, jedną odbija i chwytą: w ciągu kilka dni zdziesiątkuje najliczniejsze stado.

O szkodnikach w łowiectwie.

Nie jeden z myśliwych i właścicieli polowania nie zna może dostatecznie powodów, dla których mimo usilnych zabiegów i starań o podniesienie kultury łowieckiej u siebie, nie może się doczekać takich rezultatów, jakich pragnie; to też zadaniem artysty mego będzie wyjaśnienie tego zagadnienia i wskazanie przyczyn mizernego u nas ciągle stanu zwierzyny łownej.

Przyczyny mogą być rozmaite — i takie, jakich nie zdola żaden myśliwy usunąć, ani się przed nimi ubezpieczyć: np. nagłe ulew, śnieżyce, późne mrozy wiosenne, lub wreszcie zaraźliwe choroby i takie, którym może skutecznie przeciwdziałać i uzależniać swoją akcją pomyślny stan zwierzyny.

Pierwsze są rzadsze, należą do wyjątkowych, elementarnych i dotyczą wszystkich myśliwych na danym obszarze, drugie są codzienne, zwykcyjne i z nierówną siłą występują — zależnie od osobowości myśliwego — hodowcy, ale dla-

tego są ważniejsze i bardziej decydujące; czynnikiem tym to różne zwierzęta szkodliwe tak ssące jak i ptaki.

Niema chyba dwóch zdań co do tego, że nasze zwierzęta łowne, jak sarny, zające, kaczki, bażanty i kuropatwy smakują nie tylko ludziom, ale że na ich mięso łakomią się także lisy, koty, łasice i jastrzębie i dlatego należą do zawziętych, rzeczby można nałogowych, szkodników. Nimi zajmę się szczegółowiej, wykazując szkody, jakie czynią w polu i w lesie i podając sposoby ich niszczenia.

Ze wszystkich zwierząt użytecznych najniebezpieczniejsze są zając i kuropatwa; co żyje — to je prześladowe, poczynawszy od człowieka, a skończywszy na sroce, ale wymienione powyżej szkodniki to bezsprzecznie najbardziej tym dwóm dla nas tak drogim gatunkom dają się we znaki.

Lis, groźny rozbójnik, szczególnie szkodliwy, gdy ma młode. Już dawno obliczono, że para lisów potrzebuje na wykarmienie młodych najmniej 50 zajęcy. Kto jednak miał sposobność podpatrywać życie lisa w różnych porach roku i w różnych warunkach bytowania, nabrał przekonania, że jeden lis dla siebie zużytkowuje więcej niż 50 zajęcy rocznie.

Jako dobry tropowiec biegnie śladem zająca do dnia po rosie, przyłapuje śpiącego, lub znajduje całe gniazdo zajęcze i niszczy do szczętu.

Widziałem raz podczas zimowej jasnej nocy, jak lis pędził za szarakiem; zając zatrzymał się na polanie, przy której za dębem czatowałem i nie wiedzieć dlaczego — zaczął przed swoim przesładowcą uciekać w kółko...! Jeden i drugi snąc zmęczony przysiadł co chwilę; zaledwie jednak zając ruszał, biegł za nim lis. Sledziłem uważnie ruchy obu. Przeszłem między nimi co chwilę się zmniejszała i byłby lis dopadł zająca, gdyby nie mój strzał, który rabusia rozciągnął na śniegu. Zając znikł w mrokach nocy.

Albo inny epizod: Myśliwy zastrzelił zająca przed nagonką, zmienił nabój i czekał. Naraz nadbiega mykita tropem zająca, trafia na trupa, obwącjuje i nie licząc się z własnem położeniem, ciągnie go w gąszcz. I znowu pada strzał i rabus przepłaca życiem bezcelność.

Ze kuropatwy, bażanty i dzikie kaczkę ściga zawięcie, a nawet na młode sarny się rzuca, wie o tem każdy. Nie mamy wprost pojęcia, jak jest szkodliwy, a temi kilkoma myszami, które zлови dla zabawki, nie może żadną miarą zrównoważyć swojej szkodliwości. To też myśliwy musi go łepić przy każdej sposobności: młode wytawiać, stare truć, chwycić w żelaza i z częsta wczesną jesienią na niego polować. — Jak długo chociażby jeden lis żyje w rewirze, dopóty nie może hodowca — myśliwy zaznać spokoju!...

Innym rabusiem, może nawet szkodliwszym niż lis, a cieszącym się tu i ówdzie ochroną z powodu rzekomej użyteczności w polu, jest nasz zwyczajny kot domowy.

Przed kilku laty wybrałem się w lecie do czerwonoградской kniei na dziki. Na kraju lasu przygotował dla mnie leśniczy na drzewie wysoko siedzenie, na które wlałem i czekałem na dziki, mające wyjść do pszenicy. Siedzę w swoim krześle cicho, patrzę to na czerwoną dużą tarczę słońca, szybko zsuwającą się za widnokrąg, to na poprzewracane, zmięte i skłębione fale pszenicy, to na wysokie dęby, odcinające się nieruchomymi sylwetkami od ciemnego lazuru nieba. W lesie cisza — od czasu do czasu słyszeć tylko krakanie wrony lub wrzask wystraszonego kosa.

Naraz słyszę pod sobą w gęstwinie przeraźliwe kniazienie zająca, krótkie szamotanie i cisza znowu. Pewny, że to lis zasiadł i zadławił zająca, zmieniam szybko a cicho naboje i czekam, co dalej będzie. I oto co widzę?...

Z pod krzaków wysuwa się z groźnym pomrukiem duży czerwono-biały i z uciętym ogonem — kot i wlecze po ziemi zająca. Chciał go zapewne zaciągnąć na wolniejsze miejsce, częściowo pożreć, a resztę schować na później, ale się pomylił w rachubie. Strzeliłem, kot się rozciągnął i skończył zbójcki żywot.

Rzecz oczywista, że mowy być nie mogło o dzikach tego wieczora, zrezygnowałem też z nich chętnie, zlałem z drzewa i podnośtem kota. Był ogromny. Wnet nadszedł leśniczy i nie mógł dość nadziwić się temu wypadkowi. „Niewinny” kot, który „tylko myszy łowił”, zapolował w lesie na zająca!...

Zdziczały domowy kot przewyższa wzmiosłe zbójcekiem wszystkie inne rabusie, a jako wyposażony nadzwyczajnym słuchem i wzrokiem, nadto inteligencyą i sprytem, ułatwia sobie w każdej sytuacji zadanie i morduje wszystko, co żyje, co się rusza i co pokonać potrafi. Najpierw poluje na drobne ptactwo, potem dybie na wększe — jak przepiórki, kuropatwy i bazyli, wreszcie zabiera się do zajęcy, a może nawet i do młodych sarn. Widziałem raz na jednym z polowań w polu, jak kot unosił w galopie młodego zająca, uciekając przed wyżłem; nie uszło mu to wszakże bezkarnie.

Są jeszcze myśliwi, którzy twierdzą, że kot tylko na myszy wychodzi w pole i nie strzelają do niego.

Nie przeczę temu, jeśli się ma na myśli kota młodego, początkującego, polującego blisko domu i wracającego na noc do chaty. Ale kot, który, co jest właśnie fatalne, wybiera się w pole lub do lasu na całą wiosnę, lato i jesień, który może nie miał co jeść w domu, a który zakosz-

tował już swobody, taki kot na mysz polną, dużą, cuchnącą i wstrętną, z pewnością nawet i nie spojrzy; milsze mu są kuropatwy i zajączki.

Kotowi takiemu żaden myśliwy nie daruje.

Szkodnikami w łowiectwie, ale w innym guście są łasice i gronostaje, u nas na Podolu bardzo pospolite. Te małe zwierzątka polują rzeczywiście na myszy i ptaszki, jednak często w pogoni za niemi, jeśli natrafią na śpiącego zająca, lub kuropatwę, także im nie darują.

Jako małe, bardzo czujne i przebiegłe, łatwo się usuwają z pod uwagi człowieka i trudno na nie polować, zwłaszcza, że ani w żelaza nie idą, ani też trucizny nie biorą. Tylko przypadek umożliwia z nimi spotkanie.

Inne ssaki drapieżne i szkodliwe, jak wilki, żbiki, kuny i rysie u nas bardzo rzadkie — nie mogą stanowić przedmiotu opisu w niniejszym artykule.

Przejdźmy teraz do ptaków drapieżnych. — Z pośród nich wybija się na pierwszy plan kokosznik, czyli jastrząb gołębiarz. Czem kot zdziżały pośród ssaków, tem kokosznik pośród ptaków: oba krwi chciwe, oba przebiegłe, oba mordują z upodobaniem, oba też zasługują na bezwzględne wytępienie.

Zajęce cierpią wiele od kokosznika. Przed kilku laty, wyszedłszy raz w zimie ze strzelbą

strzypy.
Zając leżał już martwy, bez oczu, z dużą raną w głowie i w boku. To jedno zdarzenie, wzięte z życia, daje dosadną miarę szkodliwości jastrzębia i wystarcza, by mu wszyscy myśliwi wypowiadzieli bezwzględna walkę.
Szkodliwym jest także mniejszy gatunek jastrzębia, niejako bratanek kokosznika, a jest nim

Strzelem z blizka i porwałem go na nog kokosznik.
kroków za wzgórzem, zezwał się prawie z pod ności nabiłem strzelbę. Zaledwie zrobiłem kilka w którym ich straciłem z oczu, jednak dla pewności nabiłem strzelbę. Zaledwie zrobiłem kilka zapasnicy zniknęli mi za pagórkami, a chociaż Farby przybierało coraz więcej. Naraz oba także tu i ówdzie rubinowe kropie farby.
ka, musnięcia skrzydeł jastrzębia na śniegu, ale zam. Po drodze obserwuję tropy biednego szara- że za jastrzębiem zawsze i choćby najdalej podą- Puściłem się za nimi, bo już taki mam zwyczaj. Piękny to był widok, ale zarazem i wzruszający. go wierzchowca, a ten mknął coraz szybciej. działem jak bił skrzydłami, jakby popędzał swe- to umie, duży kokosznik i usiadł na zającu. Wi- jak na zawołanie, nisko, tuż nad ziemią, jak on wie ubiegł kilkaset kroków, gdy naraz nadleciał chciałem z powodu znacznego oddalenia. Zaled-

krogulec, powszechnie znany w każdej wsi, w zimie widzialny. Wprawdzie żywi się przeważnie drobnymi ptaszkami, ale stara wyrośnięta jego samica rzuca się nieraz na kuropatwy i nawet na młode zajace. Tępić go zawsze należy.

Jastrząb myszołów poluje na polne gryznie; zdarzyć mu się jednak może, że i młodego zająca pochwyci.

Staje się z tego powodu szkodliwym, jednak ze względu na swoją wielką użyteczność zasługuje na ochronę.

Już szkodliwszą jest kania. Ptak to duży, czerwono upierzony, łatwy do poznania po rozwidlonym ogonie i po białawej głowie. Poluje z rozmysłem na młode zajace, kuropatwy i inne i dzięsiatkuje zwierzostan. Zasługuje w zupełności na strzał.

Bardzo szkodliwym jest sokół wędrowny, ale tego tylko przypadkiem można zabić, bo i ostrożny i na jednym miejscu długo nie przebywa. Wyjątek stanowią stawy, obfitujące w kaczkicyrunki: przy nich zatrzymują się do późnej jesieni, do mrozów.

Z innych ptaków tępić należy: kruki, wrony i sroki. Te ostatnie należą do bardzo dokuczliwych: niszczą jaja innych ptaków, młode zabijają, a niejednokrotnie uderzają gromadnie na zajace. Cechuje je chytrość i okrucieństwo.

Na tem zamykam litanie szkodników i ży-
 wię przekonanie, że może niejeden hodowca-my-
 śliwy zechce z tych pobieżnych uwag już w naj-
 bliższym sezonie skorzystać i wpłynąć przez to
 bardzo skutecznie na wydajność pracy łowieckiej
 w swoich rewirach.



PAŃSKI ZWIĄZEK ŁOWIECKI
 BIBLIOTEKA
 Nr. —————

TREŚĆ.

	Str.
1. Król Jagiełło na łowach	3
2. Na ciągu kaczek	12
3. Kszyk	22
4. Niezwykłe polowanie	29
5. Kokosznik	33
6. O szkodnikach w łowiectwie	42





BIBLIOTEKA

Polskiego Związku Łowieckiego

Nr **5860**

WARSZAWA 1994